

San Francisco i Pompeje

25.05.2007.

Zmieniony 10.06.2007.

Czas na nowe przygody. Dzisiaj piątek, dzień targowy w niedalekim San Francisco El Alto (tak, tak - każdy chce mieć swoje San Francisco). To San Francisco ma jednak pewną cechę wspólną z San Francisco z USA. Wszędzie jest w nim pod górą. A jak wejdziesz na górę to jest z górą. Jedziemy.

Rynek niestety nieco nas zawodzi. Przypomina targowisko sprzed hostelu w Mexico City, czyli chinszczyzna wszelkiej maści poprzetykana tylko lokalnymi perełkami. Wśród nich znaleźć można taki tradycyjny, codzienny strój Gwatemalki opisany w poprzedniej relacji. Z bliska wygląda tak, jakby za chwilę miał się rozpaść w rękach (głównie te ręcznie szyte bluzeczki), ale każda jest inna, każda kolorowa, a wszystkie wyglądają ładnie na zdjęciach ;) Można również kupić dużo tkanin, choć są one nieco mniej kolorowe niż w Meksyku. Tutejszy rynek to nie tylko jeden plac ze straganami. W dzień targowy rynkiem jest całe miasteczko, a stragany ciągną się wzdłuż niemal wszystkich ulic. Na szczycie miasta, znajduje się kościół, dookoła którego sprzedaje się żywe i nieżywe zwierzęta, w tym ryby i krewetki w 3 rozmiarach. Smród niesamowity. Nie kupujemy niczego, stwierdzamy że pamiątki są ładniejsze w Meksyku. A poza tym na razie robimy tu tylko rozeznanie. W drodze powrotnej do Meksyku odwiedzimy jeszcze Gwatemalę, bo na północy czeka na nas Tikal.

Co robimy dalej z tak dobrze rozpoczętym dniem? W przewodniku wyczytujemy informacje o Gwatemalskich Pompejach - El Viejo Palmar. W 1990 roku to nieduże miasteczko zostało zalane błotem utworzonym z wymieszania wody z tutejszej rzeki Nima i materiału wulkanicznego z aktywnego wulkanu Santiagu. Ludzie zostali szybko ewakuowani pozostawiając prawie wszystko. W 1998 roku 'miasto duchów' znowu doświadczyło powodzi błotnej. W jej efekcie rzeka Nima zmieniła swój bieg i zaczęła płynąć dokładnie przez środek ruin kościoła, co z czasem stworzyło niesamowity widok w postaci dwóch części kościoła oddzielonych 30-metrowym kanionem. Postanowiliśmy to zobaczyć.

Jakoś dogadaliśmy się z kierowcą autobusu żeby wysadził nas na skrzyżowaniu z drogą prowadzącą do El Viejo Palmar. Wysadził. Na miejscu uczynny tubylec wskazał nam drogę. Idziemy. Szeroka asfaltowa droga, mocno pod górą, po lewej dżungla prawie paruje wilgocią. Jest chyba z 50 stopni, a jeśli nie to tak to odczuwamy. Idziemy, idziemy, pot z nas ścieka wszystkimi możliwymi drogami, tubylcy nas obserwują, chyba trochę się z nas podśmiewają. Dochodzimy do miejscowości El Palmar. A gdzie Viejo??? Pytamy czy daleko jeszcze. 'El Viejo Palmar? Daleko, ale w przeciwną stronę. Tu jest El Palmar. Idźcie na dół i weźcie samochód bo tam grasuje dużo złodziei.' Kurcze, nie zrozumieliśmy się z tym na dole. Trudno. Wracamy. Na dole dopytujemy się teraz o środek transportu do El Viejo Palmar. Mówią żeby czekać, przyjedzie. Czekamy, czekamy. Nic. Przejechało kilka autobusów powrotnych do Xeli. A na skrzyżowaniu zbierają się w kolejce pick-upy (takie z klatką z tyłu żeby pasażerowie mogli sobie wygodnie stać... jeśli taki środek w ogóle może być wygodny) wożące różne towary przyjeżdżające autobusem np. z Xeli, ale głównie wożące ludzi. Kierowcy obgadują nas niemiłosiernie, już wszyscy wiedzą gdzie chcemy jechać, ale jakoś nikt nie chce ubić z nami interesu. Nawet nie wpadną na pomysł żeby nam zaproponować swoje usługi. Kiedy ponownie zaczynamy z nimi rozmowę, tym razem zdeterminowani żeby chociaż dowiedzieć się czy mamy szansę dzisiaj na ten transport okazuje się że oni to by nawet z nami pojechali. Ale zasadniczo to im się nie chce. Pytamy: ile? Coś tam kombinują, wyliczają, że biorąc po quetzalu od osoby zarabiają na kursie 15 quetzali (teraz już wszyscy znają odpowiedź na pytanie 'ile ludzi weździe do pick-upa?'). Coś tam wylapujemy z tej ich rozmowy, 15 quetzali (ok. 2 \$) to spokojnie możemy im zapłacić. Tylko już jedźmy. No dobrze, 15 mogą zarobić ale co z tego skoro im się nie chce. W końcu najmłodszy z debatujących, najwidoczniej bez własnego auta, zaczyna nareszcie wyklądać im coś do rzeczy. Mówi, że skoro normalnie zarobiliby 15 to niech od nas weźmą 20. Czysty interes. To w końcu przelamuje mananę i jeden się decyduje. My też, tylko czemu tak długo to trwało??? Ładujemy się na tył pick-upa i w drogę. Ale nie tak szybko. Skoro już tam jedziemy to możemy zabrać ze sobą te 20 wielkich koszy czekających na poboczu od niewiedomo kiedy. Będzie więcej do zarobienia. Tym sposobem ładujemy w szoferce, jest ciasno, nawet bardzo ale panu kierowcy zupełnie nie przeszkadza to, że wbija mi raz w biodro raz w kolano dzwignie skrzyni biegów. Normalna. Nawet coś tam sobie próbujemy pogadać, pan się bardzo dziwi że chcemy oglądać te ruiny, bo przecież tam nic nie ma. No ale klient nasz pan. Dojeżdżamy na szczyt nowej górki, kierowca mówi że to tu. U bramy miasta spotykamy poszukiwaczy skarbów, którzy już chyba nie znajdują niczego cennego w ruinach, ale w dżungli porastającej teraz miasto zbierają owoce na sprzedaż. Cieszą się że przyjechalismy, bo zalapa się na transport na dół, a tak musieliby iść pieszo. Mówimy kierowcy, że potrzebujemy 10-15 minut, chcemy zobaczyć tylko kościół. Wskazuje nam kierunek pokazując palcem najgęstsza dżungla i mówi że blisko.

Na wstępie - pokrzywy. A ja w spodnicy. No dobra. Zostaje z panem kierowca a Darek rusza w dzungle niczym Tarzan. Bez maczety, z Victorinoxem. Tylko ze tym to tu sobie można w nosie podlubac. To jedno z najdluzszych 10 minut w moim zyciu. W koncu wylania sie podrapany przez krzaki i krzaczory i mowi ze cos chyba zobaczyl, ale jest tak zarosniete buszem, ze nawet nie miał jak wyjac aparatu. OK, wracajmy stad, nie ma sensu tego przedluzac. Trzeba poczekac az Gwatemalczyki zorientuja sie ze można z tego zrobic atrakcje turystyczna, a na razie trzeba zwiedzac tylko miejsca do ktorych dojeżdżaja autobusy, a nie takie, w ktorych trzeba kombinowac na własna reke. Albo wybierac sie na takie 'ciekawostki' z wycieczkami, ktore kosztuja duzo, ale umieja calosc zorganizowac. Byc może podjeżdżaja do drugiej polowy tego kosciola? Nie chcieliśmy juz tego sprawdzac. Zjechalismy na dol i szczeniowym trafem zaraz nadjechal autobus do Xeli i to nawet nie chickenbus tylko taki pietrowy, z klimatyzacja, zupełnie pusty. Prawdopodobnie kierowca skads wracal i postanowil sobie dorobic. Zaplacilismy tyle co za chickenbusa. Pelen luksus.

To chyba byla prawdziwa przygoda, choc może trochę bezcelowa :)